№ 21 WARSZAWA, DNIA 24 MAJA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Zajrzawszy do izb, że syna nigdzie niema, wybiegła do sieni i na dziedziniec, wołając:

— Kaspruś! Kaspruś!

Kasper tymczasem w ostatniej złości silił się coś krzyknąć, ale nic nie mógł, aż nagle zaśpiewał z piwnicy:

— Miserere mei Domine!...

Wdowa przestraszona tym grobowym głosem, i nie mogąc poznać skąd szedł, wbiegła do sieni.

— Pójdź, matko, do wina! — zawołał Kasper, i zaklął, póki mu tchu starczyło.

Tu już poznała, że głos idzie z piwnicy i spostrzegła, że klapa jest otwarta. Ale bała się zejść, bo była w swoich świątecznych strojach, więc tylko zaglądała z góry i pytała:

— Cóż tam, że nie wychodzisz? Co się stało?

Kasper chrapał i sapał, nic nie odpowiadając, aż matka, gdy się jej oczy oswoiły z mrokiem i zrozumiała, że syn dobrał się do najlepszego wina, krzyknęła:

— Ty szkodniku, gorzej wilka! Tom poto to wino za drogie pieniądze kupowała, poto go oszczędzała, na twoje własne wesele! Czekaj, pijanico bezbożny, czekaj łakomcze!...

— Et cum spiritu tuo — amen! — nagle ryknął jej Kasper, ciągle zgięty.—Puszczę palec, to wszystko wino w piasek pójdzie!

Tymczasem nadeszły dziewczęta, i wdowa posłała je, by pomogły Kasprowi w piwnicy, a sama poszła się przebrać.

Ledwie dziewczęta zeszły, Kasper je tam zostawił przy winie, a sam, choć był ociężały, w dwóch skokach wpadł do sieni, i prosto do Pietrka.

Pietrek nie spodziewał się tego—krzyknął z przestrachu i jak mysz przed kotem rzucił się do izby, bo tam mu było najporęczniej. Kasper za nim, Pietrek za stół — Kasper zamachnął się, zrzucił co stało na stole. Z brzękiem, szczękiem posypało się to po podłodze. Pietrek, bacznie zważając na każdy ruch Kaspra, jak w tańcu, myślał, jakby tu się dostać ku drzwiom, żeby wypaść na ulicę, nim czeladź nadejdzie. Buchnął nagle pod bok Kasprowi, ten rzucił się, chwycił za szafkę, gdzie stały różne naczynia szklane i kryształowe, i padł jak długi na ziemię, a szafka na niego z brzękiem nieszczęśliwych szkieł, tłukących się w drobne sko-

rupki. Na to weszła wdowa. Pietrek mignął koło niej, jak zając i wypadł na ulicę. Ona załamała ręce, zaszlochała, widząc swoje szkła potłuczone.

Kasper, tu i owdzie skaleczony szkłami, ryczał, jak tur, ze wściekłości, wdowa płakała, i tak ich zastały dziewczęta i pokrwawiony, rzucił się ku Hieronimowi. Za nim wdowa z krzykiem i płaczem, i dziewczęta także płaczące.

Hieronim uskoczył przed Kasprem w kąt. Nie rozumiał o co, ale widział, że będzie bójka. Chwycił jakiś drążek, jakąś baryłkę pchnął od ściany w nogi Kasprowi.



.... Wypadł Kasper z izby bocznej i rzucił się ku Hieronimowi...

czeladź. Dostało się każdemu: ale wśród gniewu, łajania, odgróżek i płaczu wreszcie przerosła wszystko wściekłość na Pietrka i na Hieronima, na wszystkich żaków.

Tymczasem Hieronim o niczem nie wiedział, bo wedle obowiązku był na nabożeństwie w kościele WW. Świętych.

Kiedy wracał z kościoła do domu, zboczył ze zwykłej drogi i rozminął się w ten sposób z Pietrkiem, który chciał go uprzedzić o zaszłej zmianie stosunków. Wszedł więc Hieronim do sieni, i spokojnie zmierzał na dziedziniec, by iść do swojej izdebki. Wtem wypadł Kasper z izby bocznej, czerwony jak rak, Kasper już go łupnął pięścią, wtem baryłka potoczyła mu się pod nogi, potknął się, i przewracając się po niej, jakby żywa była i niosła go na sobie, padł opodal. Wdowa tymczasem krzyczała:

— Jużem mówiła, że mi ten zbój szkody narobi! Pójdź a obacz szklenice, coś mi potłukł! Syna mi uranił!

Hieronim, nic nie rozumiejąc, zastawił się drągiem, jak mieczem, a Kasper już się porwał i biegł ku niemu.

— Oszaleliście wszyscy, czy co? — zawołał Hieronim. — Cóżem wam uczynił?

— A ty, Kasprze, wzdzierż się ode mnie, bo i ja bić umiem!

Ale Kasper popędził do izby i wrócił

z mieczem. Wrzasnęły dziewczęta, widząc, że to nieprzelewki, a nawet gospodyni, na chwilę zapomniawszy o swoich potłuczonych cudnych szkłach, wyciągnąwszy ręce, zaczęła krzyczeć na niego, by dał pokój, że to gardłem zapłaci i t. d.

Kasper jednak, rozjuszony, nic nie zważał i szarpał się między matką a dziewczętami, by go puściły. Skoczył do Hieronima: Hieronim sprawnie, nie tracąc głowy, podbił mu wzniesiony miecz swoim drągiem. Miecz dźwięknął i poleciał w kąt, a Kasper z rękami rzucił się naprzód. Hieronim. nie żałując, walnął go drągiem raz i drugi, Kasper go mimo to dopadł, obaj padli na ziemię. Skłębili się, i któryś charczał. Wdowa poznała, że to Hieronim, który był młodszy i mniejszy od Kaspra. dostał się więc pod spód, i Kasper go dusił. Przestraszona chciała ich rozerwać, dziewki także rzuciły się na ratunek, ale to nie pomagało.

Niewiadomo na czem by się to skończyło, gdy wtem drzwi od ulicy pchnięto i wpadło kilkunastu żaków. To Pietrek, dowiedziawszy się od scholarzy, rozchodzących się z kościoła, że Hieronim już poszedł do domu, odrazu pojął, co stąd wyniknie, i wprędce wyjaśniwszy im sprawę, pobiegł wraz z nimi na odsiecz. Gdy wbiegli do sieni, natychmiast zobaczyli, że się wcale nie omylili.

Hieronim zduszony, któremu Kasper tłukł głowę o ziemię, nagle uczuł, że odrywają od niego ciężar Kasprowego ciała, a jego samego podnoszą, stawiają. Poznał towarzyszy i przyjaciół: Pietrka, Stacha, Tomka Pacanowitę, Maćka Szydłowitę, małego Jerzego z Pienjan, i innych. Teraz nastąpił szybki odwrót, Kasper, dziewczęta i wdowa schronili się do izby, a wdowa krzyczała:

— Na sąd, na sąd was podam, szkodniki, zbóje!

Żacy wygrażali, zabierając z sobą Hieronima i Pietrka:

— Babo piekielna, zobaczysz, co ci nasz rektor uczyni! Do wieży pójdzie twój synek!

Teraz Hieronim i Pietrek znaleźli się bez mieszkania i bez rzeczy, bo wszystkie wdowa zatrzymała, niby to za szkodę, odniesioną w szkle i innych sprzętach.

Sprawa rozniosła się po studentach, i Samuel zaprosił obu bezdomnych do siebie na mieszkanie. Mieszkał on u bardzo bogatego mieszczanina, Stanisława Waata, miał izbę na piętrze, gdzie sypiał razem z synem kupca, Andrzejem. Teraz na miejscu Andrzeja mieli tam sypiać obaj żacy. Samuel był rozgorączkowany, oburzony, lecz ucieszony procesem. Obmyślał obronę i wynajdywał terminy prawne coraz to nowe i nowe.

Zaden uczeń krakowskich szkół, od najstarszego studenta począwszy, a na najmniejszym żaczku skończywszy, od akademji aż do najniższych szkółek, nie mógł być nigdy skarżony przed innym sądem, ani gdzieindziej sądzony, niż w sądzie rektora akademji. Był to jeden z wielu przywilejów, nadanych uniwersytetowi przez królów. Miał on wielką wagę i bardzo był korzystny dla scholarzy, sprawy ich wszystkie bowiem dzięki temu sądownictwu załatwiały się bardzo szybko, a powtóre w powadze rektorskiej mieli żacy obronę przed wrogami i napastnikami. Wdowa wniosła więc swoją skargę na żaków do rektora.

(D. c. n.).

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

Popędzili za rozbieganym, wsadzając swoim koniom w bok ostrogi. Niedługo trwała ta gonitwa, gdyż mustang nie miał ochoty dłużej nieść na swym grzbiecie Roberta. Z pełnego galopu zatrzymał się nagle tak, że Robert, wysadzony z siodła, przeleciał nad jego głową i zawisł na szyi, której się kurczowo uchwycił. Teraz dopiero mustang zaczął pokazywać sztuki i póty stawał dęba, lub wyrzucał tylniemi nogami, aż Robert przy jednym ze skoków puścił jego szyję i upadł w miękką, gęstą trawę. Przyglądający się temu cowboy'owie, wybuchnęli szyderczym śmiechem.

— Przestrzegałem przecież pana, panie Molski, — wołał jeden z nich, — pan Jack West nie lubi, aby zawierać znajomość z Heleną King. Ale w porę koń pana zrzucił, bo został pan po naszej stronie granicy.

W tej chwili uciekające stado zatrzymało się nagle, potem skręciwszy raptownie w bok, zaczęło pędzić w innym kierunku z ogierem przewodnikiem na czele. Po drugiej stronie granicy, która była odznaczona drucianym płotem, rozległ się dziki krzyk. Wspaniały kary ogier, pasący się tam, poczuł również chęć wyłamania się z pod woli ludzkiej, przesadził jednym susem ogrodzenie i przyłączył się do stada Jacka West. Gdy to spostrzegli cowboy'owie, zaczęli jak szaleni gonić obcego konia. Odczepili swe lassa od siodeł i zaczęli niemi wywijać w powietrzu.

Niezadługo schwytali swą zdobycz i przyprowadzili w tryumfie spocone zwierzę. Wierzchowiec Roberta został również schwytany, a wyładowawszy uprzednio swoją energję, pozwolił się spokojnie dosiąść, i cała kawalkada ruszyła w dalszą podróż.

W pewien czas po tem zajściu przybyli do małego domku, przed drzwiami którego stał stary murzyn. Robert przyglądał się ze zdziwieniem jego pomarszczonej twarzy i mleczno białym włosom.

W tej chwili spadł ulewny deszcz, wszyscy więc zeskoczyli z koni i szukali schronienia w domku starca.

— Tom Blue jest naszym najstarszym murzynem—objaśniał Roberta jeden z cowboy'ów.— Nie lubię czarnych, ale ten, którego pan West z Kentuky z sobą przywiózł, pozyskał naszą sympatję. Czy pan uwierzy, że on ma już 116 lat i że odbył kampanję pod generałem Samem Houston,

ojcem Texasu, i już jako 50-cio letni człowiek brał udział w chwalebnej bitwie pod San Jacintho 21-go kwietnia 1836 roku.

Robert przyglądał się ze zdumieniem starcowi, który zajęty był przyrządzaniem dla swych gości posiłku z jajek i kaszy kukurydzanej.

— Nigdybym Tomowi Blué nie dał więcej nad 70 lat — odpowiedział Robert cowboy'owi, — jeżeli mi ktoś nie pokaże jego metryki, nigdy nie uwierzę.

Tom Blué, który słyszał ostatnie te słowa, odwrócił się do swych gości i rzekł:

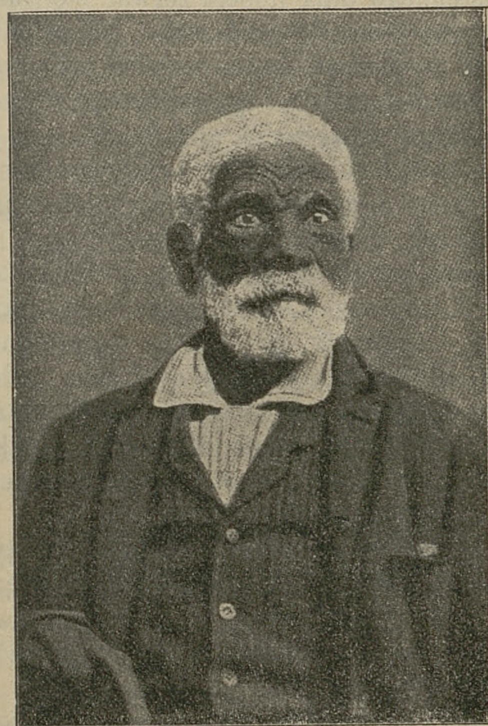
— To jest prawda, panie. Urodziłem się w Pensylwanji w 1784 roku i żyłem ze skromnej pensji, wyznaczonej mi przez miasto, dopóki mnie pan West nie zabrał na swoją fermę. Podoba mi się życie tutaj i myślę przeżyć jeszcze długie lata.

— Mam cały szacunek i uznanie dla was, Tom Blué, — odrzekł Robert.—Nie przypuszczałem, że poznam tutaj najstarszego człowieka na świecie.

Południowo-wschodni wiatr przepędził chmury, deszcz przestał padać i podróżnicy po pożegnaniu z Tomem Blué, ruszyli w dalszą drogę. Przed ich oczami roztaczała się urodzajna prerja, pokryta turzycą i innemi trawami. Trudno jest opowiedzieć słowami piękność takiego stepu, usianego gęsto kwiatami. Duże przestrzenie były wypalone od pożarów, ale na poczerniałym gruncie wyrastała młoda zieleń trawy i przestrzenie te wyglądały, jak pola młodej pszenicy. Dzikie śliwki obsypane były pachnącem kwieciem, a sękate wiązy pokrywały się młodemi liśćmi.

Dalej ciągnęły się pola bawełny. Krzaki były nizkie, ale widać było na nich dużo wełny, która miała być dopiero zebrana. Pan Jack West handlował również i bawełną. Po obu stronach drogi ukazywały się domki, zamieszkane przez pastuchów.

Wreszcie przybyli nad brzeg przezroczystego, jak kryształ, strumienia, otoczonego staremi dębami. Stąd roztaczał się widok na fermę Jacka West. Rozległe ogrody z rozkwieconemi krzakami brzoskwiń otaczały główny budynek mieszkal-



Tom Blué, murzyn, liczący 116 lat.

ny. Siedziba króla przemysłu otwierała gościnne swe podwoje.

Dwa potężne psy wyskoczyły, szczekając, na ich spotkanie, przycichły jednak zaraz, gdy jeden z cowboy'ów wydał przeciągły gwizd.

Robert był zadowolony, że się skończyła już ta uciążliwa podróż. Zarządzający domem pana Jacka West zaprowadził młodego marynarza do opodal leżącego domku, w którym wyznaczono mu mieszkanie. Dom ten musiał służyć na noclegi gości pana West, przyjeżdżających na polowanie, gdyż urządzony był z całym przepy-

chem, a bogate kolekcje rogów zdobiły ściany. Mały murzynek przyniósł Robertowi kolację, składającą się ze zwierzyny, chleba pszennego, jajek, mleka, masła, sera i główki kapusty. Nic dziwnego, że Robert spożył z apetytem tak smaczny posiłek, po długiej i męczącej podróży. Następnego dnia Robert zerwał się rano, aby rozejrzeć się po fermie. Na osiodłanym pośpiesznie koniu popędził już o wiele pewniej, niż dnia poprzedniego, do najbliższego obozowiska cowboy'ów.

Rozłożyli się oni na wywyższonym punkcie prerji i młodsi z pomiędzy nich wprawiali się w zarzucanie lassa.

Gdy Robert zeskoczył z konia i podszedł, aby się z nimi zaznajomić, zaledwie spojrzeli na niego niechętnie. Po dłuższym przeciągu czasu, jeden z tych dzikich mieszkańców prerji raczył poczęstować go swoją mianierką wódki, której łyk Robert musiał wypić, nie chcąc do siebie zrazić tych ludzi.

W pobliżu spostrzegł pięknego karego ogiera, który się pasł, mając nogi spętane podwójnem lasso. W tej chwili nadjechał jeden z wczorajszych towarzyszów Roberta.

— Dzisiaj w nocy będzie wesoło, chłopcy — zawołał dziko, – tam u Heleny King są wściekli, żeśmy schwytali ogiera. Nie oddamy go wszakże bez odpowiedniej zapłaty. To jest nasze prawo!

Cowboy'owie otoczyli kołem przybyłego i naradzali się nad tem, co mają nadal czynić. Następnie obejrzeli broń i wydali rozporządzenia, gdzie mają być popędzone trzody. Zdecydowali się obóz swój przenieść na noc w odległą część fermy, gdzie prerja była skalista, poprzerzynana odnogami gór.

Robert ciekawy był dalszego ciągu sprawy, dlatego też, gdy cowboy'owie wyruszyli w drogę, przyłączył się do nich.

W szalonym pędzie lecieli na nieosiodłanych koniach i długiemi batami zaganiali stada, kierując je w stronę skał.

Wspaniały to był widok, gdy stado galopem biegło po prerji. Konie rżały głośno, wierzgały, stawały dęba, aż wreszcie przybliżyły się na skraj prerji.

Robert, który się przyłączył do cowboy'ów, wziął udział w ich posiłku wieczornym, składającym się ze świeżej wołowiny, chleba kukurydzanego i kawy. Do wieczerzy należała manierka wódki, która kilkakrotnie obiegała koło.

Noc zapadła wkrótce i jak zwykle w tej porze roku, była bardzo chłodna. Robert otrzymał ciepłą wełnianą kołdrę, w którą się całkowicie mógł zawinąć. Młody marynarz nie był wydelikacony; przepędził na okręcie nie jedną zimną noc na warcie, gdy lodowaty północno-wschodni wiatr siekł w twarz, więc też nie obawiał się zimna, ani niewygody. Cowboy'owie powoli układali się do snu, zostawiając kilku na czatach, ukrytych po za skałami, skąd jednak mogli obserwować całą prerję, aż po granicę fermy.

Godzina zaledwie upłynęła, gdy rozległ się głośny okrzyk „hallo”, równocześnie dał się słyszeć trzask odwodzonego kurka karabinu wartownika:

— Ani kroku dalej, bo strzelę — rozległ się głos tegoż.

W jednej chwili zerwali się wszyscy ze snu i chwycili za broń. Robert również, odrzuciwszy swoją kołdrę, pobiegł w kierunku skał. W ciemnościach dojrzał sylwetkę silnego, barczystego mężczyzny, który powiewał białą szmatą, przymocowaną na kiju.

Pomiędzy ludźmi Jacka West rozległ się głuchy pomruk niezadowolenia. Cowboy'owie Heleny King przysyłali parlamentarza, znaczyło to, że sprawę całą chcieli załatwić polubownie, co było zupełnie przeciwne ich życzeniom.

— Podjedź bliżej! — rozkazał przybyszowi najstarszy z cowboy'ów.

Ten postąpił parę kroków naprzód i stanął bezbronny w kole wrogich mu ludzi.

— Pochwyciliście najpiękniejszego konia z naszego stada, który uciekł nie z naszej winy, przesadziwszy płot — odezwał się.—Dozorca fermy chce nałożyć na nas surowe kary i wszystkich chce oddalić, o ile się koń nie znajdzie. Oddajcie nam, proszę, karego ogiera z powrotem, abyśmy nie stracili kawałka chleba. My wam za to obiecujemy postąpić taksamo w podobnym wypadku.

Na te słowa powstał gwar zmięszanych głosów, dały się słyszeć dzikie okrzyki:

— Precz stąd natychmiast! — zawołał do przybysza przywódca cowboy'ów,—nie pokazuj nam się więcej na oczy, chyba, że przyniesiesz w kieszeni 50 hiszpańskich talarów. Jeżeli przyjdziesz bez pieniędzy to otrzymasz—figę!

Cowboy Heleny King nie uląkł się jednak i niespodziewanie znalazł sprzymierzeńca w Robercie.

— Byłem obecny przy tem, jak koń uciekł i jak był schwytany — rzekł Robert. — Dozorcy koni nie byli temu winni, a pan Jack West nie znosi napewno niesprawiedliwości. Oddajcie temu człowiekowi zabranego konia, a już ja was przed panem wytłomaczę.

Słowa młodego marynarza wywarły efekt kija, wetkniętego w gniazdo os. Cowboy'owie otoczyli go, grożąc zaciśniętemi pięściami.

— Ten smarkacz chce nam dyktować jakieś prawa, choć zaledwie parę dni jest w Texas! Wsypcie mu dwadzieścia pięć i wypędźcie go za fermę; tam niech rządzi podług swoich zasad

Słowa te nie przeraziły Roberta, nawet wtedy, gdy zaczęto wygrażać mu rewolwerami.

— Mam obowiązek zastępować tutaj pana Jacka West — zawołał głośno.

— To może każdy powiedzieć — krzyczeli cowboy'owie jeden przez drugiego.

Robert sięgnął do pugilaresu i wydobył papier, zawierający jego plenipotencję. Było jednak tak ciemno, że nikt przeczytać jej nie był w stanie. Wtedy młody człowiek wspomniał o metalowem pudełeczku, z którem nigdy się nie rozstawał. Wyjął je z kieszeni, przycisnął guziczek i natychmiast z podnoszącem się wiekiem, wyskoczyły dwa czerwone płomyki, które oświetliły dostatecznie zapisany papier.

Przerażeni cowboy'owie cofnęli się. Groźny gwar ucichł: bez słowa protestu oddali zabranego karego ogiera cowboy'owi Heleny King.

Następnego ranka Robert powrócił na fermę, gdzie najpierw przebiegł ogrody, okalające dom. Potem wszedł do swego pokoju, gdzie ze zdumieniem ujrzał jednego ze starszych cowboy'ów, który szukał czegoś w jego walizie.

— Czego tam u djabła szukacie — wykrzyknął Robert, — czy to są wasze rzeczy?

D. c. n.

TRESURA ZWIERZĄT.

DOKOŃCZENIE.

Przeszedłszy zwolna po szeregu butelek, kot nie ma już ochoty wracać tą samą drogą, ale zobaczywszy kawałek mięsa po drugiej stronie, bez wahania puszcza się w niebezpieczną podróż, balansując, jak tancerka linowa, a pragnienie zwycięstwa osładza mu przykrą drogę.



Tresowane lwy.

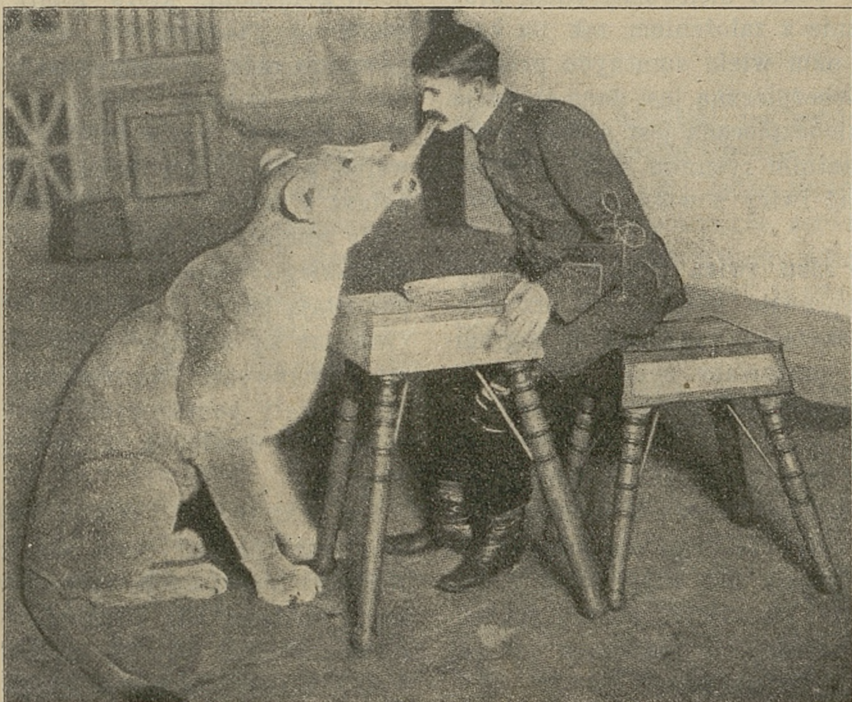
Przy tresurze kotów wszelkie aparaty nie mogą być robione z twardego drzewa, ale obciągnięte filcem, co ułatwia bardzo otrzymanie dobrych rezultatów.

Pomimo wszystko najlepszym nauczycielem kotów jest ich własne łakomstwo, które i większe zwierzęta z tej rodziny zmusza do skakania przez palące się obręcze i inne t. p. rzeczy, aby zdobyć nęcący kęsek.

Koty są pomimo swojej pozornej łagodności i bezbronności najdrapieżniejszemi zwierzętami, a od lwów i tygrysów różnią się tylko wielkością. Najlepszym przykładem może służyć następujący fakt.

W Beaupré na Saône w czasie jarmarku produkował się wzorowy cyrk. Jednym

z numerów była oryginalna tresura miniaturowych lwów, t. j. kotów przez karła. Gdy cyrk był przepełniony widzami, jeden z kotów rzucił się na poskromiciela i, uczepiwszy się zębami jego gardła, zadusił go, w czem pomagały mu dwa pozostałe koty, w których ten widok obudził instynkty drapieżne.



Podawanie lwicy mięsa z ust pogromcy.

Przy tresowaniu większych egzemplarzy z rodziny kotów jak: lwów, tygrysów i lampartów, życie pogromcy wisi na włosku.

Niektórzy utrzymują, że zwierzęta są przed przedstawieniem narkotyzowane, albo mają zęby wyrywane lub obcinane pazury: jestto rzeczą niemożebną, gdyż zwierzęta w stanie podniecenia byłyby stokroć niebezpieczniejsze dla pogromcy. Nie należy też mieszać pojęć tresowania i oswajania, i uważać, że tresowane zwierzęta są jednocześnie oswojonemi.

Pomimo metod tresowania Karola Hagenbeck'a i Juljusza Seeth'a, którzy dają sposoby tresowania grup zwierząt, nie udało się zagubić krwiożerczych instynktów i biada temu, kto zaufał ich pozornej łagodności.

Najniebezpieczniejszemi do tresowania są nerwowe zwierzęta. Nawet nieraz spokojne okazy mogą przez nieprzewidziane wypadki stać się nerwowemi, o czem świadczy następujący wypadek, który zdarzył się znanej pogromicielce, p. Heliot. Gdy po przedstawieniu 12 lwów opuszczało arenę, służący zawcześnie zasunął drzwi i przycisnął najspokojniejszemu lwu ogon; ból tak zdenerwował zwierzę, że po podniesieniu zasuwy rzuciło się na pogromicielkę, którą z wielką trudnością ocalono.

Ostatnie ilustracje przedstawiają najryzykowniejsze momenty dla pogromcy. Nic tak nie wzbudza u lwa chęci rzucenia się na człowieka, jak chwila, kiedy

znajduje się równolegle z jego głową. Śmiało możemy powiedzieć, że wtedy pogromca życie stawia na karcie. Nie mniej niebezpieczną jest i sytuacja, gdy po wielu niebezpieczniejszych sztukach następuje pozornie bezpieczna sytuacja, a mianowicie: apoteoza, w której pogromca obejmuje lwicę za szyję i głowę kładzie na jej łbie. Jeden nieuważny ruch, krótkie spóźnienie z założeniem rąk na kark lwicy dało nam wiele smutnych przykładów, jak niebezpieczną jest dana sytuacja.

Bardzo niebezpieczną jest sztuka, pokazana na ostatnim rysunku, gdzie pogromca każe brać lwicy z własnych ust kawałek mięsa.

Pewnego razu lwica była w złym humorze, co sprawiło niechęć do przedstawiania; na szczęście zauważył to pogromca i to mu uratowało życie. W chwili, kiedy lwica sięgała po mięso, sięgnęła nieco dalej i gdyby nie nadzwyczajnie zimna krew pogromcy, chwyciłaby go za gardło. Pogromca wyrzucił momentalnie mięso z ust, ale nie mógł się już obronić i lwica rozdrapała mu szyję łapą o pół centymetra od tchawicy. Odrazu spędzono zwierzę z areny, a pogromca już tej sztuki nigdy nie powtarzał.

Aby być nauczycielem w wyższej szkole tresury, nie dość jest posiadać tuzinkową odwagę, ale trzeba być uposażonym w męstwo, jak tego dokazała panna Heliot, która wyleczywszy się z ran, powróciła do swych lwów.

Tresura zwierząt kończy się dopiero wtedy, gdy zwierzęta bez natężenia, a więcej odruchowo wykonywają ćwiczenia. Cechy nabyte przez tresurę, stają się drugą naturą stworzenia, o czem świadczy fakt, który zdarzył się w jednym z francuskich cyrków.

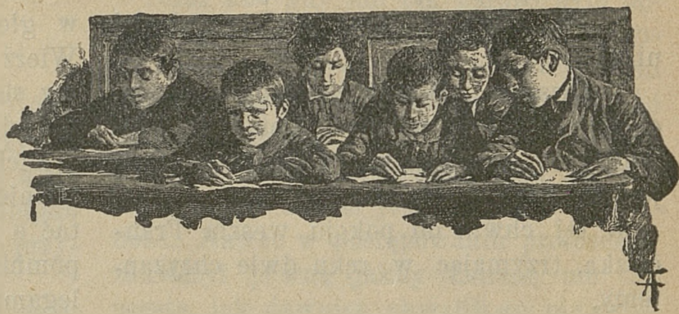
Pewien clown występował z tresowanemi gołębiami, które robiły sztuki na czerwono malowanych aparatach. Gdy pewnego razu aparaty przemalowano na niebiesko, gołębie, wypuszczone z klatki, nie wiedziały, gdzie siąść. Znalazły sobie wśród publiczności damę, która miała kapelusz z czerwonemi makami i tam wybrały miejsce do siedzenia. Dowodzi to, do jakiego stopnia niektóre stworzenia pamiętają barwę i jak silnie ich czynności związane są z odpowiedniemi wrażeniami wzrokowemi. Na następny dzień aparaty zostały pomalowane na czerwono i gołębie po dawnemu odbywały przedstawienie.

Ale jeszcze nie koniec nauki: trzeba zwierzęta przyzwyczaić do muzyki, do głośnego nieraz zachowywania się publiczności, do tego, aby same nie robiły hałasu za kulisami, aby nie zrywały z głowy fryzur, umiały chodzić w kostjumach i t. d.

Jeżeli i to ostatnie zostało osiągnięte, aktorzy są w zupełności przygotowani do występów i przerywają naukę w wyższej szkole tresury.

Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

— Już i lombard jest w robocie! A nie zdaje mi się, żeby pożyczkę przyjęła!

Pani Strzemboszowa dotąd jeszcze była tak upojona szczęściem z odzyskania swego dziecka, że wszystko inne z głowy jej uleciało; ale trzeźwa Franciszka, na barkach której spoczywał cały ciężar domowego gospodarstwa, czuła zbliżające się niebezpieczeństwo.

— I komorne za pasem! — wzdychała, nie wiedząc, jak sobie radzić.

A tymczasem chłopiec z dnia na dzień odzyskiwał siły. Przez pierwsze dni pozwolił pielęgnować się, jak małe dziecko, kaprysił dziecinnie i poza sprawami jedzenia i spania, nic go nie obchodziło. Po jakimś czasie jednak zaczął dopytywać o szczegóły swej choroby, jak dawno leżał w łóżku, w jakich warunkach zachorował i t. d.

— To ja tak dużo lekcji opuściłem! — szepnął i nagle chmura jakaś osiadła mu na czole.

— To nic! Dogonisz! Koledzy ci pomogą! — uspokajała matka, zaniepokojona widoczną zmianą, zaszłą w twarzy Michasia.

— Koledzy?!..

Bolesny błysk ukazał się w jasnych oczach chłopca. Lecz matka nie zauważyła tego. Chcąc rozchmurzyć syna opowiadać zaczęła:

— Twoi koledzy, to bardzo dobrzy chłopcy! Gdybyś wiedział, jak serdecznie interesowali się twoim zdrowiem, jak się o ciebie dowiadywali! Jeden szczególniej okazywał tyle współczucia serdecznego, tak szczerze był zmartwiony twoją chorobą! Nieraz prosił, bym mu pozwoliła czuwać przy tobie...

— Witold?

— Tak. Mówił, że jest twoim przyjacielem.

— A inni?

— Inni dowiadywali się przez niego. Mówił, że cała klasa chciałaby przyjść, ale rozumieli przecież, że choremu przeszkadzać nie można. Raz był tu także jakiś inny kolega. Ten przyszedł w imieniu całej klasy. Ale wydał mi się mniej przyjemny...

— Jak się nazywa?

— Nie wiem. Nie był więcej.

Michaś zamilkł i pogrążył się w zadumie. Minione chwile stanęły mu żywo przed oczami; wprawdzie odczuwał je obecnie znacznie spokojniej i nie sprawiały mu takiego bólu, jednak nie mógł myśleć o tym, co się stało, bez przykrości.

— Ciekaw też jestem, czy rzeczywiście wszyscy koledzy interesowali się moim zdrowiem... Wątpię... Witold tyle razy mi mówił, że mnie nienawidzą.. Widocznie opowiadał tak, by uspokoić mamę.. Jednak to poczciwie z jego strony... chociaż znów kłamać tak ciągle...

— O czym to synuś tak myśli?

— Matuchno, a teraz nie przychodzi nikt?

— Owszem... Witold codziennie wpada, chcąc się z tobą widzieć. Dotąd dr. Ksawery nie pozwalał na odwiedziny. Dziś jednak gdybyś chciał...

W tej chwili do pokoju weszła Franciszka, trzymając w ręku dwie chryzantemy.

— Ach, jakie piękne!—wykrzyknął Michaś.

— Przyniósł ten panicz, który codziennie przychodzi!

— Witold! Dobry, kochany chłopiec!—rzekła pani Strzemboszowa serdecznie.— Więc jak? Chciałbyś go zobaczyć na chwilę?

Dziwny skurcz ścisnął serce Michasia. Miał chęć zobaczyć kolegę, a jednocześnie ogarnął go jakiś lęk: tyle się wycierpiał, tyle wymęczył! Czy nie najlepiej byłoby skończyć z temi chłopcami?

Matka, widząc wzruszenie, malujące się na mizernej twarzyczce chłopca, położyła pieszczotliwie dłoń na jego głowie:

— Odłożymy może tę wizytę do jutra, dobrze? Dziś jesteś zmęczony?

— Nie, nie!—zdecydował nagle. Chciałbym zobaczyć Witolda!

— Dobrze więc, poproszę go zaraz.

Po chwili do pokoju chorego wchodził Witold, prawdziwie wzruszony. Wychudła twarz Michasia, zapadnięte oczy, widoczne osłabienie, nie pozwalające mu jeszcze poruszać się, robiły na nim wielkie wrażenie. Z nieśmiałością zbliżył się do łóżka, nie wiedząc, co powiedzieć,—co mu się rzadko zdarzyło.

Michaś wyciągnął do niego chudą, niemal przezroczystą rękę:

— Dobry jesteś, żeś przyszedł! Dziękuję ci!—szepnął.

— O, jakże się cieszą, żeś już zdrów!—odzyskawszy zwykłą pewność siebie zawołał chłopiec z wielką serdecznością w głosie.— Cieszymy się tym wszyscy! Wierz mi, dzień, w którym dowiedzieliśmy się, że niebezpieczeństwo minęło, był prawdziwym świętem w klasie!

Michaś patrzył na mówiącego ze zdziwieniem i niedowierzaniem! Chciał zapytać o coś, wyrazić swe zdumienie, przypomnieć stosunki, jakie go łączyły z kolegami, lecz spojrzawszy na matkę, która stała w progu, patrząc nań rozpromienionemi oczami, wyszeptał tylko:

— Wszyscy?!

— No, tak, wszyscy! Nawet profesorowie!

Michasiowi gwałtownie się cisnęło pytanie:—a Zygmunt? lecz nie śmiał go zadać, przejęty nagłym lękiem.

Tymczasem Witold, opowiadał z ożywieniem, wesoło i dowcipnie o szkole, o profesorach, o lekcjach, o kolegach. Siedział zresztą niedługo, gdyż pani Strzemboszowa ostrzegła go przed wejściem, że chorego nie można męczyć długą rozmową.

Michaś żegnał go z żalem prawdziwym:

— Już idziesz?

— Muszę, ale przyjdę jutro, i to na dłużej, jeżeli zechcesz.

— O, proszę!

— Inni też chcieliby cię odwiedzić, ale to zostawimy sobie na później.

— Bardzo, bardzo rad będę każdemu!—zawołał rozradowany chłopiec, a w myśli stanął znów przed nim Zygmunt. Widocznie wszystko się zmieniło, więc i on może przyjść!

— Proszę, pozdrów odemnie wszystkich!

— Dziękuję! A pamiętaj! Staraj się wrócić do nas jaknajprędzej!

Po wyjściu kolegi, Michaś wyciągnął ręce do matki:

— O, mateńko! Taki jestem szczęśliwy, taki bardzo szczęśliwy!—szeptał, tuląc się do niej.— Teraz już wszystko będzie dobrze!

*

* *

Podróż ojca przeciągała się bardzo długo. I teraz właśnie Zygmunt trzymał w ręce list, odczytując go uważnie a na jego rozumnej, myślącej twarzy odbijało się coraz silniej uczucie zawodu i przykrości.

— Znowu zwłoka! Znów będę sam! A tak bardzo, tak bardzo pragnąłbym zobaczyć już ojca!—szeptał szczerze zmartwiony, chowając list do szufladki.

Wprawdzie przyzwyczajony był do ciągłych podróży ojca i do swej wówczas samotności, lecz teraz była ona dlań nadzwyczaj ciężką! Doktór Ksawery nie odwiedzał go, on zaś bał się do niego zgłaszać. Czuł, że doktór żądać będzie wyjaśnień, a te byłyby dlań bardzo ciężkie, gdyż musiały oskarżać innych. A gdy wreszcie zdecydował się pójść, okazało się, że doktora od paru dni nie było w domu.

— Ratuje znów jakiegoś tam biedaka. Pono jednak nie uda mu się nic zrobić tym razem!—objaśniał służący.

Zygmunt był tym prawdziwie zgnębiony: gdy doktór Ksawery miał jakiego ciężko chorego, niepodobieństwem było prawie zobaczyć się z nim, a tymbardziej porozmawiać, zasięgnąć rady... A potrzebował tego bardzo! Z kolegami wszystkimi żył bardzo dobrze, lecz stosunek jego do nich był tego rodzaju, że oni się zwracali do niego po pomoc, rady, wskazówki; on do nich nigdy! Wszyscy lubili go, a on odpłacał sympatją wszystkim, lecz nie miał serdecznego przyjaciela, przed którym mógłby duszę otworzyć!

Teraz zaś, gdy mu tak bardzo było potrzeba przychylnej duszy, zauważył ogromną zmianą w usposobieniu kolegów: jedni odsunęli się od niego jawnie, inni ochłodli ogromnie, prawie się od niego odsuwając, wreszcie ci, co byli mu najbliżsi, zdawali się obcować z nim jedynie przez grzeczność. Nawet w postępowaniu profesorów zauważył pewną jakby zmianę: nie tak często, jak dawniej, chwalili go, nie zwracali się tak wyłącznie do niego w sprawach lekcji, czasami nawet spostrzegał w ich oczach jakby niezadowolenie.

(D. c. n.).

WIĘZIEŃ.

Prowadziło go czterech — ponure wejrzenia
Zdawały się przygniatać biedną postać małą,
Której znędzniałe ciało szmat brudny ocienia...
Prowadziło aż czterech nędzną postać małą...

Z przerażonem wejrzeniem, z potarganym włosem,
Stąpało cicho dziecię w otoczeniu straży,
Dziecię, co wnet z złoczyńcy podzieli się losem.
Stąpało ciche, smutne w otoczeniu straży...

Jak pisklę, co z pod skrzydeł matczynych odlata.
Odeszło biedne dziecię do siedliska zbrodni—
Za nieświadomość złego wyparte ze świata,
Za głód, nędzę, wygnane do — siedliska zbrodni...

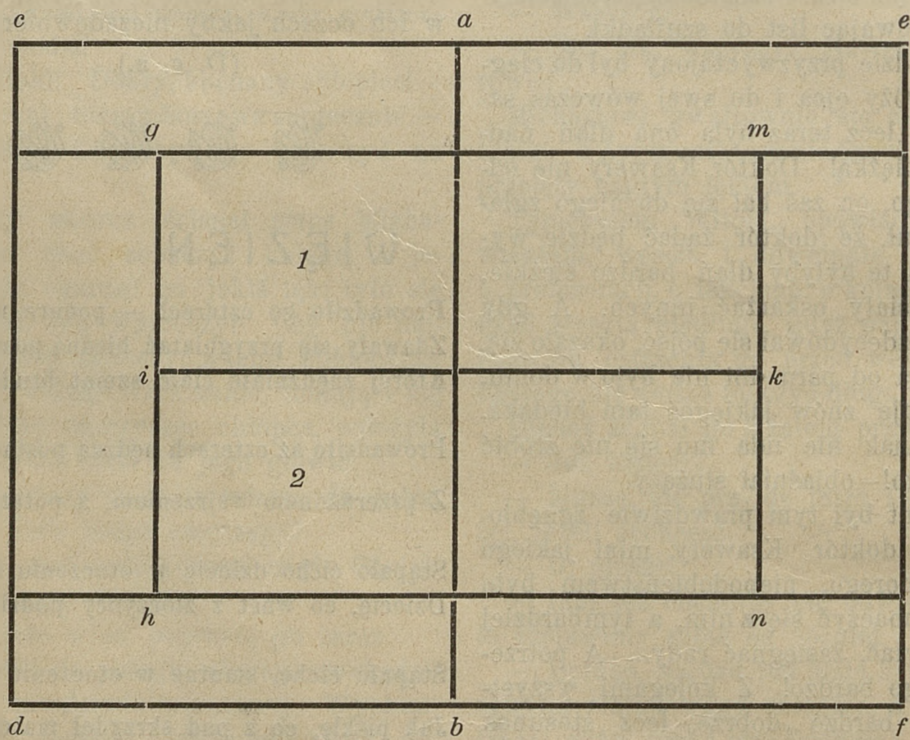
E.

Gry i zabawy.

Lawn - Tennis (ilość grających 3—4, wyjątkowo 8).

Zaczął się miły okres, kiedy porzucacie mury miejskie, by jak swobodne ptaszęta, bujać po polach i lasach. W tym czasie przydadzą się wam zapewne wskazówki do różnych gier i zabaw na świeżym powietrzu.

Jedną z najmilszych gier jest bezsprzecznie tennis. Jest to gra ze wszech miar zasługująca na wprowadzenie w życie wszędzie, gdzie to jest możliwe, gdyż jest nadzwyczaj hygieniczną, rozwija równomiernie wszystkie muskuły, dostarczając grającym wiele ruchu, wyrabiając zręczność, uwagę i ćwicząc ogromnie wzrok.



Na boisku równem, twardo ubitem, oznacza się przez polanie wapnem linje w sposób wskazany rysunkiem. Przez środek boiska rozpina się siatkę sznurową *(a — b)*, sięgającą do ziemi, przynajmniej 90 cm. wysoką. Boki dłuższe prostokąta *(c – e, d—f)*, wynoszą 24 m., a krótsze *(c – d, e – f)*, 12 do 14 m. W części przecina go linja *(i—k)*, na połowy; w odległości 7 metrów od siatki nakreślone są 2 linje *(g – h, m—n)*. Za placem umieszcza się skrzynki do piłek.

Do gry używane są małe gumowe piłeczki, obciągnięte filcem. Podbija je się za pomocą rakiet, to jest obręczy gruszkowatego kształtu, opatrzonych rączkami, na których rozpięta jest siatka z grubych

strun. Są one bardzo elastyczne i piłeczki można niemi podbijać w zupełnie dowolnym kierunku.

Przebieg gry jest następujący.

Strony ciągną losy o prawo wyboru strony boiska i rozpoczęcia gry. Gdy obie partje stanęły na swych stanowiskach, pierwszy z partji, rozpoczynającej grę, staje na zewnętrznej linji boiska i podbija rakietką piłeczkę tak, by upadła skośnie w mały przeciwległy kwadrat przeciwnika. Jeżeli rzut był zły, t. j. jeżeli piłka uderzyła w siatkę, lub upadła za granicę kwadratu, wolno mu rzut powtórzyć.

Jeżeli i ten był zły, powtarzać go już więcej nie wolno, a przeciwnik liczy to w tym razie, jako piętnaście punktów dobrych. Jeżeii rzut był dobry, przeciwnicy starają się go odbić z kozła, to znaczy po pierwszem odbiciu się od ziemi. Odbita piłka musi upaść na stronę przeciwną, ale nie za granicę boiska, gdyż w takim razie liczy się przeciwnikowi piętnaście punktów dobrych. Jeżeli piłka jest dobrze rzucona. przeciwna partja stara się ją znowu odbić i t. d., dopóki ktoś albo nie odbije piłki, lub odbije ją źle.

W obu wypadkach przeciwnicy liczą sobie piętnaście punktów. Za każdym skończonym rzutem podbijający przechodzi na drugą stronę i piłkę skośnie w drugi kwadrat podbija i t. d.

Następny rzut liczy się również 15, dwa dalsze po dziesięć.

Czyli liczy się tak: 15, 30, 40, 50. Jeżeli obie partje mają po 40, jest to tak zw. równość; następny dobry ruch będzie przewagą. O ile ta sama partja zyska jeszcze jeden rzut, partja jest wygrana. O ile rzut zyska przeciwnik, będzie znów równość.

Partja, wygrywająca 50 punktów, wygrywa tak zw. z angielska gemm. Po wygranym gemmie, partje się zmieniają. Partja, podająca piłki, przechodzi na drugą stronę i obecnie odbija tylko piłki.

Całkowite zwycięstwo pozostaje po tej stronie, która pierwej wygra sześć gemmów, czyli tak zw. set.

Prawidła: 1) Podbijający ma przed każdym rzutem wołać: „proszę" i dopiero wtedy wolno mu bić, gdy broniący przeciwległego kwadratu odpowie „gotów", w przeciwnym razie rzut jest nieważny.

2). Chociażby rzut był zły, uważa się go za dobry, jeśli ktoś z partji przeciwnej dotknie się piłki, nie zawoławszy uprzednio: „zły", po angielsku „aut". Jeżeli piłka uderzy przeciwnika, rzut jest dobry.

3). Każdy rzut pierwszy, t. j. rzut wykonany z ręki przez podbijającego, można odbić tylko z pierwszego kozła, następne z pierwszego kozła lub z powietrza. Odbicie z drugiego kozła jest zawsze nieważne.

4). W każdej małej partji strona, rozpoczynająca grę, ma prawo do czterech rzutów, a mianowicie dobry wynik pierwszego rzutu, liczy się punktów 15, drugiego 15, trzeciego 10 i czwartego 10, czyli razem partja liczy się 50 punktów. Jeżeli wynik rzutu jest zły, to punkty liczą się stronie przeciwnej.

Przez płomienie.

Pociąg kurjerski, dążący z Kopenhagi do Berlina, w pobliżu miejscowości Gransee pod Oranienburgiem, znalazł się w poważnem niebezpieczeństwie. W miejscowości tej po południu, prawdopodobnie od iskry parowozu jednego z poprzednio przejeżdzających pociągów, zapalił się las, przylegający do samego plantu kolejowego. Na miejsce pożaru wyruszyły wszystkie straże ogniowe z okolicy, starając się przez ścinanie drzew stworzyć przegrodę dla szerzącego się ognia, niemniej przeto, gdy o godz. 8 w. na linji ukazał się pędzący kurjer, gęste kłęby dymu zasłaniały całkowicie drogę.

Maszynista zatrzymał pociąg, po chwili jednak, po sygnale, pociąg ruszył i wpadł w morze ognia, iskier i dymu. Między podróżnymi powstał straszny popłoch, kurjer jednak przebył względnie szczęśliwie niebezpieczeństwo, gdyż oprócz roztopienia się farby na wagonach i spaleniu części drewnianych zewnętrznych, żadnego szwanku nikt nie doznał. Maszynista, który jednak uległ dotkliwym poparzeniom, tłomaczył się, że nie miał innego wyboru, jak przedrzeć się przez płomienie, bo za pociągiem było, już spalonych jak się później okazało, 2,000 podkładów, więc pociąg mógł łatwo wykoleić się na szynach, rozluzowanych i przez gorąco już skręconych. Wówczas katastrofa byłaby straszna, bo wypadek mógł się zdarzyć w pośród ognia i dymu.

Przed sobą miał wprawdzie kłęby dymu pędzone wiatrem, ale przynajmniej szyny przyśrubowane jeszcze mocno do pokładów.

Podróżni, przybywszy do Berlina i dowiedziawszy się o takiej roztropności i odwadze maszynisty, złożyli doraźnie pewną kwotę na upominek dla niego, tem więcej, że zasłużony maszynista uległ poparzeniom i opaleniu włosów, w chwili kiedy opuścił parowóz, chcąc zbadać drogę przed sobą.

Anegdotka (autentyczne).

Ośmioletnia Józia dostała ładną książkę zatytułowaną: „Berezyna, czyli córka III pułku”. Mama wytłómaczyła jej, że są to dzieje sierotki, którą się zaopiekowali Polacy, walczący pod Napoleonem.

— A czy wiesz, co jest Berezyna?— zapytała Józię starsza siostra, gdy wróciła z pensji.

— Wiem, — odpowiedziała rezolutnie Józia, — Berezyna—to wychowanka żołnierzy III pułku.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3